Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 46.** Leszno, *dnia* 16. *Maja* 1840.



Widok Kijowa.

Kijów, na prawym brzegu Dniepru, dawna stolica województwa, a obecnie gubernii, pod 50° 26′ 53″ szerokości a 28° 13′ 21″ długości, 120 mil na wschód Krakowa, 120 na połud. w. Warszawy. Kijów dzieli się na cztery części: Staremiasto, Pieczarskie czyli Twierdzę, Chreszczatkę (mylnie zwaną: Włodzimierskiém miastem), i Podol. Stare miasto i Pieczarskie otoczone są wałami, po za któremi wznoszą się przedmieścia. Naipiękniejszym i najwspanialszym pomnikiem Staregomiasta jest kościół świętéj Zofii. Starożytna ta świątynia, założona w 1037. r. przez Jarosława Włodzimirzowicza, księcia kijowskiego, jest obszernie i okazale zbudowana z cegły. Kopuły tego gmachu pokryte są złotą blachą. Wewnątrz kościoła wielkie bogactwa w szatach kapłańskich i w naczyniach świętych. Przed wielkim ołtarzem zatrzymuje się oko nad szczątkami pięknéj mozaiki na tle złotém; uszkodzili ją znacznie Tatarzy Batu-kana. Grób Jarosława († 1054.), jedyny pomnik tego rodzaju w Rusi, zasługuje równie na uwagę, jak drzwi bronzowe, grobowce rozmaitych książąt, relikwie świętych osób i mnóstwo obrazów uszkodzonych wiekiem. Kościół świętéj Barbary zawiera w sobie szklanną trumnę ze zwłokami téj świętéj; trumna bywa otwarta w czasie nabożeństwa. Lud ruski przychodząc gromadnie co rok na nabożeństwo do Kijowa, zwiedza najskwapliwiéj zwłoki świętéj Barbary, a ucałowawszy jéj ręce, składa ofiarę w pieniędzach. Te ofiary uczyniły najbogatszym w dochody pomieniony kościół. Najdawniejsza z cerkwi kijowskich jest Desiatynka, inaczéj Narodzenia Panny Maryi: zbudować ją kazał Włodzimierz około 989. r. Podług Nestora, spoczywać tu miały zwłoki tego monarchy, jego żony i jego babki, świętéj Olgi. Na starych ruinach Piotr Mohiła wymurował gmach nowy, lecz niewidać w nim dawnéj świetności; napotyka się tylko napisy w nieodgadnionych charakterach. Na kilka lat przed rokiem 1830.

wykopano w tym kościele zwłoki książąt i biskupów. Cerkiew Andrejowska, kościół dworski, ma wspaniałe wschody o stu stopniach tak szerokich, jak front gmachu. Cerkiew ta stoi na urwisku gór, oddzielających Staremiasto od Podola; fundamenta jéj z tego względu są dwa razy większe od zwierzchnéj wysokości; zdaje się, iż spada z góry. Cztery wysokie wieżyce służą ku zewnętrznéj ozdobie gmachu. Jest nadto dziesięć cerkwi w Starémmieście, lecz wszystkie nic szczególnego niezawierają. Pieczarskie, czyli Twierdza otoczona murem i bastyonami, wznosi się po nad brzegami Dniepru, wyżéj niż Staremiasto i czarujący oku przedstawia widok na kraj rozległy na lewym brzegu rzeki. W téj części znajduje się kilka pięknych gmachów, jako to: mieszkania gubernatorów wojennego i cywilnego, arsenał, magazyny, koszary i dworzec carski, dawniéj z drzewa, obecnie murowany. Z wspaniałego ogrodu, przepiętrzonego górami, które się schodzi po schodach, masz piękny widok tak na stary Kijów, jako też na przeciwny brzeg Dniepru i ujście Desny do téj rzeki. Lecz najznakomitszém miejscem w téj części jest: kiewsko-pieczarskaja ławra. Jestto najdawniejszy pomnik w historyi religii ruskiéj. Początki tego miejsca sięgają 1055. roku.*) Składa się z małych domków, a raczéj celi i pieczar, gdzie spoczywają zwłoki 150 męczenników, a między innemi świętego Antoniego, założyciela téj pustelni. Pieczary te wyrobione są w skale, i służyły niegdyś za jedyne pomieszkanie dla uczniów świętego Antoniego, którego świętobliwość dotąd we czci powszechnéj się utrzymuie. Jedna z tych pieczar ma 91, a druga 201 sążni obszerności. Miejsce to odwiedzane bywa dotąd tłumnie, osobliwie w czasie świąt wielkich. Ławra ustanowiła się dopiero za Izasława Jarosławowicza, który cisnącym się mnichom całéy góry ustąpił, i dopomógł im do założenia klasztoru. Teodozy był pierwszym tu przeorem; przywiózł on z Konstantynopola przepisy dla swego bractwa. Napływ zwolenników i hojność pobożnych książąt, rychło zbogaciły ten zakon: stał się on wkrótce najmożniejszym w kraju klasztorem, i jest nim jeszcze dzisiaj, pomimo różnych kolei losu, przez jakie przechodził. Około 1160. r. patryarcha konstantynopolitański otrzymał od Jędrzeja Bogolubskiego zwierzchność bezpośrednią nad tą ławrą i utrzymał się przy niéj aż do 1687. r., to jest: po czas panowania Polski w Kijowie. W jednéj z pieczar tutejszych, Nestor, najdawniejszy kronikarz ruski, pisał swe dzieło. W środku budowli tego klasztoru stoi wieża, którą Rusini nazywają dzwonnicą. Lud prosty utrzymuje, że gdy ją stawiano, mury za dnia wzniesione kryły się pod ziemię do czasu, aż je nareście zasklepiono. Lecz jednéj nocy gmach cały wysunął się na powietrze, i przedstawił niezwykłéj wysokości ogrom. Istotnie, gmach ten należy do rzadkich tego rodzaju pomników w Europie, i zajmuje pierwsze miejsce po wieżach wiedeńskiéj, strazburskiéj i pizańskiéj. Od strony polskiéj widać ją na mil kilka. Do pieczarskiego klasztoru należy skarbiec głośny ogromnemi bogactwy, oraz piękna biblioteka. Jest przytém drukarnia. W cerkwi pieczarskiéj spoczywają zwłoki Konstantego Ostrogskiego, sławnego wojownika z czasów Zygmunta I. Oprócz celi przy klasztorze, znajduje się: katedra uspeńska, o dwóch piętrach, bogato ozdobiona; przechowywa rzadką relikwią: głowę świętego Włodzimierza. Kościół ŚS. Pawła i Piotra. Z pieczarskiego na Podole przechodzi się przez Chreszczatkę, miejsce tak zwane od chrztu, który się tu odbył za Włodzimirza W. Posąg tego monarchy stoi przy źródle między parowem. Lud ruski ma do tego miejsca religijne przywiązanie, i ze czcią tu przybywa nabierać wodę. W téj części znajduje się kościół katolicki, jedyny w Kijowie, utrzymywany przez Dominikanów. — Najpiękniejsze zabudowania znajdują się na Podolu. Część ta za czasów rządu polskiego była miastem królewskiém, miała osobnego rządzcę, niezależnego od wojewody, i używała różnych przywilejów. Na Podolu znajduje się dawna akademia kijowska, założona w 1588. r. przez Konstantego Ostrogskiego. W początkach była to tylko szkoła wyższa, lecz Piotr Mohiła, metropolita kijowski, i najzapaleńszy nieprzyjaciel unii, która pod tę porę zajęła była cerkiew świętéj Zofii, otrzymał r. 1632. od Władysława IV., króla polskiego, nowy przywiléj, i szkołę na Akademią przekształcił, która wzięła od niego nazwisko: *Kiewo-Mohilna Akademia.* Nazywano ją niekiedy uniwersytetem. Wielu uzdatnionych ludzi wyszło z téj Akademii; w 1830. r. było tu 1500 uczniów, sposobiących się po większéj części do stanu duchownego; posiada ona bibliotekę, którą pożar znacznie uszczuplił. Akademia kijowska zasiada w pięknym domu, przyległym klasztorowi brackiemu, czyli kijowsko-brackiemu; przełożony tego zakonu, który należy do drugiéj klassy, i ustanowiony był 1588. r., jest z urzędu rektorem téj akademii. Drugim znaczniejszym budynkiem na Podolu jest dom kontraktowy, obszerny i piękny gmach z przedsionkiem, położony na środku obszernego placu. Dolna sala służy na zgromadzenia obywateli, i może mieścić do 3000 osób; w niéj się odbywają ugody; inna sala służy na posiedzenia trybunału; w sali górnéj koncerta i bale. Mnóstwo osobnych pokoików zostawiono dla prywatnych rozmów i zabaw. Znakomite równie w téj części zajmują miejsce: dom sądowy *Prysudstwiem* zwany; jestto piękny murowany gmach, gdzie zasiadają wydziały cywilny i kry-

*) Zob. P. L. rok 3. T. I. Nr. 15 i 16.

minalny, izba skarbowa, prokuratorya i ziemska policya. Budynek ten stoi na prost dworca carskiego na Pieczarskiem. Zresztą, oprócz wymienionych przedmiotów, znajduje się w Kijowie przeszło 30 cerkwi, kilka klasztorów Czerńców, kościół luterski, dom przytułku dla sierót, kilka szpitalów, dwa gymnazya, oraz uniwersytet włodzimierski, założony w 1833. r., a niedawno zamknięty, na miejsce zniesionego uniwersytetu wileńskiego i lyceum krzemienieckiego. Dochody tych instytutów, osobliwie dochody lyceum, utworzone ze składek obywateli polskich Wołynia, Podola i Ukrainy, przeniesione zostały, równie, jak biblioteka i wszelkie zbiory naukowe, na uniwersytet włodzimierski, gdzie nauki wykładane były w języku rossyjskim; uniwersytet ten składał się z dwóch wydziałów, prawa i filozofii, miał być dodany wydział medyczny. Znajdują się przytém: szkoła dla córek szlacheckich z Wołynia, Podola i Ukrainy, konwikt dla ubogich uczniów, którzy w Krzemieńcu nieznali tego oddzielenia, szkoła mechaników i jeometrów z lyceum wołyńskiego. Uniwersytet włodzimierski w 1834. r. liczył 43ch nauczycieli i urzędników i 62ch uczniów.

(Koniec nastąpi.)

Arabowie i konie arabskie.

(Ciąg dalszy.)

Arabowie nie utrzymują, tak jak twierdzono, rejestrów genealogicznych swoich koni, i równie nie jest prawdą, jak wielu podróżników upewniało, że Arabowie do 50 osób zbierają, aby byli świadkami połączenia ze źrzebcem klaczy, i równie narodzenia się źrzebięcia. Nieraz byliśmy świadkami przeciwnego postępowania; pospolicie wybierają na ogiera najlepszego konia w swojém pokoleniu albo w sąsiedzkiém, i utrzymują, równie jak w Europie, ogierów przechodnich z jednego miejsca na drugie. Trudno jest od nich otrzymać, aby choć z tych niemiejscowych ogierów którego przedać chcieli; zwłaszcza w porze stanowienia. Udzielają każdemu ogierowi trzy klacze na dzień, a cena od ich odstanowienia wynosi blisko talara hiszpańskiego. Takie ogiery przechodzą od jednego do drugiego z wymienionych plemion arabskich i często w dość oddalone strony. Abufar, którego Pan Damoiso kupił od Fedan-Anazes dla stajni królewskiéj, uszedł jednéj nocy dziesięć mil i trzy klacze odchował.

Arabowie puszczają do klacz źrzebce dwuletnie i klacze też odstanawiają tegoż samego wieku, w ośmnaście miesięcy, i źrzebce i źrzebice już zaczynają być jeżdżone, ale za to też najczęściéj we dwa lub trzy lata zupełnie już są zrujnowane. Ogiery, klacze, źrzebięta pasą się razem: rzadko kiedy dostrzedz można, aby ogiery upędzały się za klaczami; jednak dla ubezpieczenia się od tego, wiadomego używa się sposobu.

Arabowie jeżdżą pospolicie bez munsztuka i uzdeczki: uzdzienica, do któréj jest przywiązany harapnik z żelazem tak jak kawczan, jest całym ubiorem głowy. Najszlachetniejszy wierzchowiec najczęściéj ma na grzbiecie kawał płótna we dwoje złożonego zamiast siodła, a postronki z obu stron służą za strzemiona; rzadko kiedy kują tylne nogi. Mnogie blizny od ognia, które się dostrzegają po różnych częściach ciała wierzchowca arabskiego, bywają częstokroć wypiekane, bo Arabowie nie znają inszego lekarstwa do ratunku chorych swoich koni, jak ogień, równie i dla ludzi; i sami i dzieci bywają także pokryci bliznami kauteryzacyi od głowy do nóg. Wielu z ich koni nawet od 18 miesięcy bywają oszpecone głębokiémi bliznami nad i pod pęciną, z przyczyny nabrzmiałości wznieconych od żelaznych dzwonków, jakie swoim koniom przyczepiają do pęcin dla ubezpieczenia ich od kradzieży; lękając się zaś, aby te nabrzmiałości od dzwonków nie obróciły się w kostne stwardnienia, rany wypiekają rozpalonėm żelazem. Cały dzień konie przebywają na stepie i często oddalają się dość daleko od obozu; jednakże za przyjściem nocy, każdy Arab spędza około własnego namiotu swój dobytek i zmusza do leżenia, nogi pętając, aby jeśliby który powstał, nie mógł na trzech nogach daleko odejść.

Konie Anazes mało podobne do tych koni arabskich, jakie znamy w Europie, a klacze zdają się także być zupełnie odmienne od ogierów. Widziałem nie jedną klacz, któréj uroda przechodziła łokci 2 cali 10. Ogiery zaś są mniejsze i innego układu. Klacze wszystkie mają małe główki, chrapy spadziste, wielkie oczy na wierzchu głowy, czoło szerokie i kwadratowe, uszy rzadko kiedy piękne, bo najczęściéj zwisłe, chrapy wielkie, ostry koniec nosa; ogiery przeciwnie rzadko kiedy mają piękny łeb, pospolicie on jest dosyć ciężki, oczy małe bez wyrazu, uszy długie, czoło wąskie a nozdrze nie tylko kończaste, ale powszechnie tak wyniosłe, że często postrzegałem między témi końmi głowy baranie; pospolicie mają szyję wąską, dobre łopatki, ale przednie nogi najczęściéj słabe i pilnie trzeba śledzić sustawów, które pospolicie u nich są źle wyrosłe. Wreszcie Arabów nic nie obchodzą te przywary, i byleby koń biegał dobrze i prędko, byleby był dobrego rodu, żeby nie miał żadnego złego znaku, lub złéj odmiany, przez Mahometa wskazanéj, będzie zawsze uważany za doskonałego, choćby miał w swoim kształcie wszystkie, jakie tylko mogą być wady i przywary, dadzą mu najpiękniejszą i najszlachetniejszą klacz, bez zastanowienia się; a przeciwnie, pogardzą najpiękniejszém stworzeniem, jeśliby się w jego rodowitości znajdowała najmniejsza wątpliwość, albo jeśliby miał na sobie którykolwiek

46



Obóz arabski.

ze złych znaków: nie dadzą mu wtedy najmizerniejszéj klaczy.

Wyznać jednak należy, że mimo wszelkie wady uderzające, te konie posiadają nadzwyczajne przymioty: skoro je tylko jeździec dosiędzie, giną w oczach wszystkie przywary, których dostrzedz już niepodobna; tyle posiadają zacności i zgrabności. Wiele koni widziałem z najpaskudniejszym krzyżem, ogon nizko wyrosły; skoro tylko właściciel siadł na niego, gdzieś się podział ten tył brzydki. Ogon tak się podniósł, że wierzyć nie mogłem, aby to była ta sama szkapa. Piękne konie Anazes wielkie mają podobieństwo do kursorów angielskich krwi czystéj; ale są daleko zwinniejsze i przyjemniejsze do jazdy, skoro tylko cokolwiek ujeżdżone zostaną na nasz sposób; albowiem wyszłe z pustyni, nie znają ani siodła, ani ostrogi, bo ich Arabowie nigdy nie używają, z przestrachem chodzą po bruku i trudno ich do truchtu zmusić: ruszają z miejsca wielkim galopem, ale dają się osadzić na miejscu. Łatwo jednak ich pojęcie daje się na nasz sposób wykształcić.

Mówiliśmy już, że pięć głównych rodów poczytane są za pochodzące w prostéj linii od pięciu klacz faworytnych Bobyprofitty: ten ród (koni) oznacza się nazwiskiem Koheyln, albo Kenheylan.

Prawdziwych Keylanów łatwo dostać można w Bagdadzie, Muszul, Orfa i okolicach: te, które się widzieć dają na brzegach Eufratu i w miastach sąsiednich, są wyższe i kościstsze, niżeli stepowe, ale mniéj się odznaczają cieńkością muszkułów i nóg tylnych.

Jedne tylko Koheylany utrzymują świadectwa swojéj rodowitości, inne rody ich nie mają.

Porody koni, które do tych nie należą, są bardzo liczne na stepach; każdy z nich nosi nazwisko ogiera, od którego pochodzi, i te są mianowicie rassy: Hemdany, Embojan, Richan, Babelan, Semcyti, Fryggian, Nadban, Torysan, Choncyman, Sabbalia, Widnan, Abou-Arcoub, Michref, Sex-Sex i tyle inszych. Wszystkie się te konie nazywają Nedgedy, od prowincyi Arabii szczęśliwéj; niektórzy znawcy wolą tych Nedgedy bardziéj, niż Koheylanów, bo są często piękniejsze i dystyngwowańszych przymiotów; chociaż nie dostają świadectw swego pochodzenia, jednak wschodni mieszkańcy są powszechnie za Koheylanami. Trudno jednak upewnić się, czy koń jest Nedgedy, czy Koheylan. Piérwsze mają wypukłość na głowie i nos łękowaty, prawdziwy zaś Koheylan przeciwnie, ma nos kolisty, wielkie oczy, szerokie nozdrza, szerokie czoło, a w ogólności łeb piękny. Byleby koń nie był przeznaczony na stadnika, nie ma wielkiéj trudności skłonienia Araba

do sprzedania go, ale jest zupełne niepodobieństwo do skłonienia go, ażeby na sprzedaż klaczy zezwolił; a kiedy jest zmuszony okolicznościami do zbycia jéj, to nie inaczéj ją zbywa, jak społeczną umową, która się robi następującym sposobem: Naprzód umawia się cena; kupujący bierze ją do swego użytku i utrzymania, pierwsze i drugie źrzebię powinno być oddane przedającemu, który jeszcze zastrzega sobie i prawo wzięcia klaczy, źrzebięta zostawując nabywcy. Często i w innym względzie układają się, właściciel nieocenionéj klaczy ćwierć jéj tylko przedaje, to jest: tylko źrzebię od niéj, co się po arabsku zowie: („jednę tylko nogę klaczy przedaje.“)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Dalszy ciąg.)

3.

Siedział zadumany Grzegórz na ławie przy kominie, gdy żona borowego wyręczając go, gotowała obiad: dzieci igrały na wilczych i niedźwiedzich skórach, sprzeciwiając się sokołowi, co z gniewu najeżał pióra. Maryna (tak nazywano zwykle żonę borowego) gdy przyrządziła wszystko, założywszy ręce, spozierała na obrazy ścienne.

„Powiedz mi Wać,“ rzekła, „co za łowy namalowane.“

„Mościwa pani,“ (odrzekł z uszanowaniem, bo wiedział, że ze szlacheckiego pochodzi domu po kądzieli i po mieczu) „są to sławne łowy, ale niech Bóg zachowa mego panicza od podobnych.“ Tu pokazując palcem opowiadał:

„To widzicie świętéj pamięci jest król Zygmunt stary, dziad z matki, dzisiaj panującego nam szczęśliwie pana naszego. Ta matrona na koniu, Włoszka Bona; niewieleć jéj żałowano gdy umarła, bom słyszał na dworze pana rodzica mego panicza, iż gdy po jéj śmierci nie rychło wieść o tém do naszéj doszła ziemi, żartowano sobie i gadano: „Czy wiesz, że królowa Bona umarła.“ i ztąd ci przysłowie, gdy kto stare nowiny za świeże podaje. Owóż ten w pstrych szaciech i szachowanych, jest błazen nadworny Stańczyk; a ten pieszo z oszczepem, sławny z wielkiéj siły Tarło, krajczy. Na niego też wypadł niedźwiedź; chciał go wziąść na oszczep, ale mu go wydarło zwierzę i samego ledwie nie zabiło. Gdy się rozjuszyło niedźwiedzisko, uciekając przed nim, spadła Bona i poroniła. Stańczyk przewrócił się z koniem. Dużo luda nakaleczył, nim go dobito.“

Grzegórz w zapale miał dłużéj prawić, gdy trąbka myśliwska zabrzmiała. Porwał się przeto, wypadł na ganek i krzyknął; na ten krzyk wybiega Maryna, załamuje ręce i płacze. Na noszach z gałęzi nieśli strzelcy Strusa skrwawionego; smutny poprzedzał ich Dymitr. W wozie drabiniastym siedział podstoli na zabitym niedźwiedziu, opierając nogi na dwóch dzikach i starym jeleniu.

„Ostrożnie zniżyć nosze,“ rzekł Dymitr strzelcom. Grzegorzowi kazał swoje przygotować łoże.

„Co się stało, miły Boże!“ zapytała Maryna męża.

„Nieszczęście!“ odrzekł borowy; „przynajmniéj Bóg mu żywot uratował. Gdyby nie pan Dymitr . . . .“

Wtém uciął, bo musiał dopomódz strzelcom wnieść do izby ranionego Strusa. Kiedy złożyli go na łożu, Dymitr obmył ranę, dobył z apteczki maści i plaster przyłożył: natarł mu skronie octem, a w usta ścięte wlał starego węgrzyna. Wtedy Struś odetchnął i otworzył oczy, a widząc przy sobie Dymitra, ścisnął mu ręce, wymawiając zcicha: „Dziękuję ci miły bracie!“

Podstoli kazał wnieść wszystką zwierzynę do téjże saméj izby, aby widok téj zdobyczy rozweselił rannego łowcę. Jakoż Struś osłabiony krwi upływem, z uśmiechem przecięż radości patrzał na ogrom kudłastego niedźwiedzia, na czarne smolaste wielkie dziki, z kłami białemi, na jelenia z rosochatemi rogi. Kiedy to dojrzał Dymitr, zasępiałość znikła z oblicza, tém więcéj, gdy chory mocniejszym głosem przemówił:

„Panowie bracia! gdym upadł w kniei bez pamięci, nie słyszałem trąbki, zwiastującéj koniec łowom: niechże jéj głos mię orzeźwi — posłucham go, ale z puharem!“ i wyciągnął jeszcze zbroczoną rękę z łoża.

Wchodzą strzelcy, a za nimi dwa brytany duńskie Dymitra: ale ledwo próg przeszły, zawarczały, i obces rzuciły się na leżącego niedźwiedzia.

„Oderwać je,“ krzyknął Dymitr, „i wyprowadzić.“

„Niechno chwilkę,“ rzekł Struś, „niech popatrzę na nie i to martwe zwierzę . . . jakoś to sercu miło i lżéj człowiekowi.“

„Owóż prawdziwy łowiec! (przemówił podstoli) leży skaleczały, a oczyma pożéra martwego już niedźwiedzia.“

Gdy psy uskromiono i wywiedziono z izby, sześć trąbek zagrzmiało, a Struś radośnie wykrzyknąwszy: „Zdrowie nasze!“ spełnił pełny puhar co do kropli.

Na żądanie rannego, przysunięto stół do łoża z późnym obiadem; a pomimo odradzania, zmiatał misy z jadłem, połykał kawały sarniny. Przy końcu uczty, zrzucił Struś zawiązanie głowy, obmył winem twarz zbitą, i ręczył, że nazajutrz z jutrzenką gotów na nowe łowy.

„Jakżeto było?“ zapytał podstoli, „że gracz taki i łowiec stary, jak nasz miły Struś, raz ciężki oberwał.“

„Jak było,“ odrzekł ranny z uśmiechem, „zaraz Waszeci opowiem. Stałem na stanowisku, gdy ten niedźwiedź wypadł; psy te same już go dzierzyły dobrze; oszczepem przybiłem go do ziemi, ale raz łapą w twarz otrzymałem. Nic to nie było, alić gdy psy odwiedziono, niczego się nie spodziewając, wypada wieprz rozjuszony; ledwiem uskoczył nieco na pieniek, gdy mi pociągnął kłem po łydce; upadłem bez pamięci, krew mię ubiegała. . . .“

„Resztę ja Waszeci dokończę,“ zawołał w uniesieniu podstoli; „byłbyś pod kłami wieprza ducha bez świętéj spowiedzi oddał, gdyby nie szlachetny nasz gospodarz; on przypadł na to stanowisko, i drzę jeszcze, dziwiąc się zuchwałéj odwadze; zajadłe wściekłe zwierzę chciało razy śmiertelne powtórzyć; ale, dzięki Bogu! natrafiło na ostrze oszczepu pana Dymitra. On zasłonił Waszeci ciało, przykląkł, i oszczep wystawił, a dzik przebił się w szalonym skoku. Upadł, gdy dopiero psi przypadli, i już go niepuścili: cios drugi oszczepu — zabił wieprza.“

Struś słuchał tego z podziwieniem naprzód, później ze łzami, w ostatku porwał Dymitra prawicę, przycisnął do serca; ze wzruszenia nie mogąc przemówić i słowa. Borowy oczy ocierał, Maryna w głos płakała, a stary Grzegórz, całując łzami zalany rękę Dymitra, wyrzekł: „Tego nikt inny nie mógł zrobić, jeno mój panicz, któregom wypiastował i wychuśtał na tych samych rękach; wyróśłci on na pociechę mojéj starości.“

„Ej do licha!“ zawołał podstoli, usiłując pokręcaniem wąsa ukryć łzy swoje, „rozbeczeli się wszyscy jak baby; nuże, podajcie kobzę, niech osuszy oczy i rozraduje serca nasze.“

Wzruszony Dymitr porwał kobzę i z podziwieniem Strusa, a więcéj jeszcze podstolego, zagrał rzewnie na niéj. Wydobył naprzód żałośne tony, nagle zabrzmiał głosem trwogi; rozróżniłeś w nich krzyk przerywany przestrachu i rozpaczy.

Struś wlepionemi oczyma w grajka, słuchał téj gędźby dzikiéj; snać ją zrozumiał, bo czerwień okryła mu policzki naprzód, poczém silnie ścisnął żylastą prawicą, jakby chciał kord pochwycić; a gdy Dymitr dobył przeraźliwe tony trwogi i rozpaczy, machnął w zapomnieniu ręką, jakby wymierzając silne cięcie.

Podstoli sparłszy głowę na ręku, słuchał rozrzewniony, a dwie łzy, jak krople letniéj rosy, zrosiły mu zmarszczone policzki. I Dymitr czuć musiał, co wygrywał na kobzie, bo gdy ją ostatniém tchnieniem nadął, opuścił głowę z wzruszeniem na piersi. Struś zmęczony upadł na łoże.

„Miły bracie,“ rzekł podstoli do Dymitra, ściskając go za rękę; „chcieliśmy smętne rozzerwać myśli, a Wasze zraniłeś nam serca! O znam tę pieśń oddawna; mój rodzic świętéj pamięci umiał ją na kobzie, a kiedy ją zagrał, sam pan Rej z Nagłowic, (a był wonczas małém pacholęciem), gdy dni kilka bawił w naszym dworze, chociaż niemyślał ni o czém, jeno o swawoli — wszedł wtedy do komnaty, chcąc pokazać memu rodzicowi, jako wronie kraśny ogon przywiązał — usłyszał tę piosnkę i musiał zapłakać. A nasz Struś ranny, widziałeś jako machał ręką, mniemał, że na polu bitwy; za to teraz odpoczywać musi.“

Dymitr nieodrzekł słowa, jeno zadął pieśń łowiecką o niedźwiedziu. Wesołe przygrywki, radość wróciły na zasępiałe oblicze. Struś usiadł na łożu i rado poklaskiwał, a podstoli popijał z puhara.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zgoda o Barbarę i Koronacya.
R. 1550.

(Ciąg dalszy.)

Po koronacyi Barbary, która była pierwszą odtąd myślą króla, i naymilszym przedmiotem jego usiłowań, drugiém wolném przedsięwzięciem, stał się zamiar jechania do Wilna, i okazania Litwie małżonki na téj ziemi zrodzonéj, z pośród tamtejszego obywatelstwa do tronu wzniesionéj, i już blaskiem korony jaśniejącéj. Dowodem tego była owa troskliwość Zygmunta Augusta, żeby, gdy świetnego i licznego dworu zamek wileński jakkolwiek obszerny, objąć nie mógł, dwory w pobliżu obwodu zamkowego, między nim a klasztorem Bernardynów położone, na pomieszczenie go były gotowemi. Pierwszéj chęci królewskiéj stało się zadosyć, i niezwyciężona miłość Augusta wkrótce uwieńczyła koroną skronie pięknéj Barbary. Druga była tylko lubém marzeniem, którém się może razem z Barbarą mile łudził, nie sądząc, żeby się tak okropnie i wodmiennym sposobie ziściło! — Jednakże wszystko tchnęło radością na dworze królewskim. Zdrowie znacznie poprawione Barbary, i zbliżenie się wreście uroczystego dnia koronacyi, ożywiało wszystkich nieprzymuszoną wesołością. Powiększyły się niebawnie świetne łowy, na które się król zaraz po powrocie z sejmu udał z królową do Niepołowic. Przybył tam nakoniec i Kmita z żoną Barbarą Herburtowną z Dobromila, siostrzenicą królowéj, powtórnie złożyć hołd Augustowi i Barbarze, i przypomnieć obietnicę odwiedzenia ich w Wisznicu. Mile od królestwa przyjęty, powraca do domu, otrzymawszy powtórne przyrzeczenie przyjazdu ich na dzień św. Bartłomieja. Jakoż istotnie w tym czasie, jak naznaczono, to jest 24. Sierpnia 1550.

roku, nastąpiły głośne owe w dziejach naszych odwiedziny. Udał się do Wiśnicza Zygmunt August, w towarzystwie Barbary i brata iéj stryjecznego, Mikołaja Czarnego Radziwiłła, marszałka w. litewsk., otoczony bardzo licznym dworem. Wspaniały i obronny zamek wiśnicki(*) przyjął po raz piérwszy w świetnych swoich podwojach królową Barbarę Radziwiłłównę, chociaż one, jako pokrewnéj rodziny mieszkanie, nie dziesięćkroć dla téj nadobnéj pani otwieraćby się powinny były. Ale Kmita oddał się cały tą razą niezmordowanym usiłowaniom, ażeby najzaszczytniejszém przyjęciem wysokich swych gości, zagładzić wszelkie ślady dawnych niechęci. Jakoż niczego nie oszczędził, najbardziéj w okazowaniu uszanowania i usług dla saméj Barbary, ażeby dowieść szczeréj przychylności ku niéj, poświęcenia się dla sprawy Augusta i zapomnienia przeszłych nieporozumień. Przez całe trzy dni gościnny Kmita z staropolską hojnością, swoim własnym i wielkim kosztem dwór cały na zamku wiśnickim podejmował (**). Świetne uczty i różnego rodzaju rozrywki, zakończone zostały wspaniałymi i drogimi upominkami, którymi zamożny gospodarz nietylko Zygmunta Augusta i królowę Barbarę, ale cały dwór ich, nikogo nie opuszczając, hojnie obdarzał. Takto, ów dumny wojewoda i w nienawiści rokiem wprzód nieubłagany, z niespodzianém ukorzeniem i nadzwyczajną usilnością, jednał życzliwość i łaskę téj, która z jego powodu tyle przeciwności zniosła, tyle łez uroniła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O sławnych pijakach za panowania Augusta III.

(Koniec.)

Trzeci, Adam Małachowski, krajczy koronny; tego można nazwać zabójcą ludzkiego zdrowia, wielu albowiem ludzi zalanych winem poumierało, niektórzy nawet w jego domu zasnąwszy raz na zawsze snem śmiertelnym. To rzecz dziwna, że takowe przypadki w oczach jego darzone, nieodmieniły w nim szalonego zwyczaju pojenia ludzi gwałtownie i zalewania winem. Miał u siebie w Bąkowéj górze kielich wielki półgarncowy, na którym wyrznięte były trzy serca z podpisem: „corda fidelium.“ Używał podczas tego kielicha do bankietów i wetów wielkich, zwyczajnie zaś trzymał go od przywitania każdego, kto pierwszy raz był u niego w Bąkowéj górze. Jeżeli taki gość przybył z rana, co prędzéj sporządzono mu śniadanie, aby miał poczém pić, ponieważ ten kielich nikogo nie mógł minąć. Skoro go oddano w ręce gościowi, przestrzeżono zaraz, że powinien był wypić duszkiem, inaczéj niech cokolwiek niedopił, natychmiast mu pełno dolewano, póty, póki nie wypił: to gwałtowne picie więcéj szkodziło zdrowiu, aniżeli sam zbytek wina. Z panów wielkich, mniéj sposobnych do pijaństwa, z trudna który odważył się nawiedzić krajczego; a jeżeli być u niego wyciągał koniecznie jaki interes, to wprzód wyrobił sobie od niego rewers nakształt salvum conductum pod najcięższemi zaklęciami, jako do pijaństwa, a mianowicie do kielicha corda fidelium nie będzie przymuszany. Najwięcéj do niego zjeżdżali się bibosze koronni, a mianowicie towarzystwo, co się beczki nie lękało, nietylko kielicha. Który pan posłał sługę z listem do krajczego, nie chybiło go to, że musiał za nim posłać drugiego dowiedzieć się, co się z pierwszym stało, a na czas i trzeciego, kiedy pierwszy i drugi wpadłszy w ręce krajczemu, popojeni, lada gdzie pod schodami, albo pod płotem, nie wiedząc o świecie, dopieroż o responsie, spoczywali, albo i wcale pomarli. Nie czynię w tém opisaniu żadnéj exageracyi, bo sam ledwo uniknąłem podobnego nieszczęścia, uciekłszy bez szabli, bez czapki, bez konia, w zastaw niby pewności powrotu zostawione, pod pretextem pilnéj potrzeby, któréj wymieniać nie należy. Przecież ten pan rozumiejąc, iż nie masz na świecie nikogo na dań w pijaństwie mocniejszego, któregoby swoim kielichem corda fidelium niezwyciężył, czyli mówiąc właściwiéj, niezciemiężył, trafił na jednego takiego, który go w tém mniemaniu zawstydził. Byłto braciszek, kwestarz, Bernardyn, z klasztoru Wielkiéj Woli, czyli Woli Pana Jezusa, w powiecie opoczyńskim leżącego. Ten czując się na siłach, będąc wyprawiony na kwestę, zajechał śmiało do krajczego do Bąkowéj góry, którego miejsca wszyscy inni kwestarze jak morowego powietrza unikali. Trafiło się to przed obiadem z rana. Krajczy rad, że mu taki gość dawno niewidziany wpadł w ręce, na pokorną prośbę braciszka o jałmużnę, zaraz mu podał kondycyą: Jeżeli duszkiem wypijesz ten kielich, (skazując na corda fidelium,) każę ci naładować pełen wóz zbożem; a jeżeli od razu niewypijesz, doleją ci go tyle razy, ile razy przestając pić, choć kroplę w nim zostawisz. — Braciszek pokornie odpowiedział, iżby wolał być posilonym pokarmem

---

(*) Wiśnicz, czyli Wiśnicze, zamek dziś w ruinach stojący, położony jest o milę od Bochni w dawniejszém województwie krakowskiém, teraz w Gallicyi. Lubomirscy, do których późniéj przeszedł, pisali się stąd hrabiami na Wiśniczu. Dziś jest własnością Aleksandra hrabi Potockiego. Jeszcze przed Piotrem Kmitą w Wiśniczu był zamek, ale on go dopiéro na nowo odbudował, obwarowawszy wieżami i wałami, a wewnątrz ozdobił obrazami przodków swych i królów polskich. Wiśnicki zamek wznosi się na górze w przyjemném położeniu. Wizerunek jego znajduje się wraz z opisem w Przyjacielu Ludu Nr. 2 z roku 1837.

(**) Orzechowski Annal. III. pag. 1513. ed. lips.

jakim, niż trunkiem, ponieważ jest głodny. — Krajczy natychmiast kazał mu dać jeść; przyniesiono mu tedy półmisek bigosu hultajskiego i karwasz pieczeni. Zjadłszy certum quantum tego i owego, prosił o szklankę piwa, a tę wypiwszy, zaczął się niby zabierać do odejścia, jakoby z bojaźni kielicha nie śmiał już i o jałmużnę prosić. — Krajczy wesół z jego bojaźni, rzecze: Nie, bracie, z domu mego nikt wyniść niemoże, kto weń pierwszy raz wnijdzie, póki tego kielicha nie wypije. — Bernardyn na taką zapowiedź udając wielkie w sobie pomieszanie, z przymusem wziął kielich w obie ręce strychem nalany, toż zrobiwszy nad nim kilka krzyżów, uderzywszy się w piersi jako człowiek przymuszony, i westchnąwszy do niebios, zaczął we czwał łykać, ale jakby mu tchu brakło, odjął nagle od ust, zostawiwszy w kielichu z półkwaterek wina. — Ho, ho! niedopiłeś bracie! (zaczął krajczy wołać). Doléjcie mu, doléjcie! — Hajducy na rozkaz pański skoczyli do Bernardyna z flaszami, ten zaś dopijając z kielicha reszty, począł tam sam umykać po pokoju, pokazując kielich do reszty wypróżniony. — Nic to niepomoże bracie! (znowu krajczy) niewypiłeś duszkiem, złapcie go i naléjcie mu pełen. — Złapano Bernaśia i dolano w strych jak pierwszy; do tego uchwycono za pas, aby niemógł uciekać. Osaczony Bernardyn jak niedźwiedź w kniei, odetchnąwszy kilka razy, począł doić drugi kielich wolniejszemi łykami, i znowu trochy niedopił. Daléj znowu krajczy: Niedopiłeś, doléjcie mu! — Bernardyn na kolana, w prośby na wszystkie względy. Ale gdy te nic nie pomogły, przyłożył się do trzeciego i wypił w téj mierze jak pierwsze dwa, żeby przyczyna do musu niezginęła. — Krajczy kazał mu znowu nalać, i tak z owemi grymasami zmyślonemi wypił Bernardyn sześć kielichów wina jeden po drugim. Krajczy jak z początku miał wielką uciechę z Bernardyna, tak widząc daléj, że ani z nóg nie spada, ani cery nie mieni, poznał, że z niego żartuje, wpadł w passyą, i kazał go wypchnąć za drzwi. „A to filut jakiś, a wzdyćby on mi całą piwnicę wypił. A to Bernardyni filuty, z umysłu na szyderstwo ze mnie, takiego mi pijaka z końca świata wyszukanego przysłali.“ Opłonąwszy z pierwszéj passyi, kazał pójść za nim obaczyć, co się z nim dzieje. Doniesiono mu, że wsiadł na wóz dobrze, bez najmniejszéj omyłki, i pojechał. Kazał krajczy skoczyć za nim i wrócić go, wysłał mu assygnacyą na kilka korcy zboża, ale niechciał się z nim widzieć, i zakazał, żeby więcéj nigdy u niego niepostał.

Czwarty pijak sławny, był Karól książę Radziwiłł, wojewoda wileński. Wieleby było pisać, jakie on psoty wyprawiał po pijanemu największym familiantom; powiem tylko, co zrobił z Pacem, pisarzem w. ks. litewskiego. Temu jednego razu przykremi psikusami swemi tak dokuczył Radziwiłł, że niemogąc ich ścierpieć dłużéj Pac, pogroził mu pojedynkiem. Ale Radziwiłł nie chcąc z nim rozrywać przyjaźni, a chcąc go nastraszyć za owę groźbę, udał, jakby się o nią szalenie na Paca rozgniewał, kazał go natychmiast porwać, w kajdany okuć i wtrącić do więzienia; nazajutrz kazał go ubrać w śmiertelną koszulę, wyprowadzić na plac w assystencyi kata i księdza, i dysponować na śmierć. Wszyscy przyjaciele Paca i Radziwiłła struchleli na ten widok, rzucili się Radziwiłłowi do nóg za Pacem, który łzami i lamentami prosił go także o miłosierdzie, ale Radziwiłł udając zapalczywą cholerę i czyniąc się głuchym na wszystkie prośby, naglił na Paca, aby klęknął pod miecz, z którym mistrz stał mu nad karkiem; nareszcie gdy Pac prosił jeszcze o moment do poprawienia spowiedzi, Radziwiłł będąc już syt żartu, skoczył do Paca z miłym uśmiechem i rzekł: „A widzisz, ja ciebie lepiéj nastraszył, niż mię ty pojedynkiem; poprowadził tedy Paca na pokoje w śmiertelnéj koszuli, tak jak był na placu, tam mu zaraz ofiarował za ten żart wielkie prezenta; toż dopiero gala wielka i pijatyka na cześć takiego konceptu. Pac naturalnie śmiercią zmięszany, a potém nagłą radością przejęty, przymuszony będąc, w takiéj rewolucyi krwi, do pijatyki, wpadł w chorobę i trzeciego dnia umarł.

Doniesienie literackie.

Opuścił w tych dniach prassę drukarską piérwszy zeszyt *Roczników Towarzystwa do rozszerzenia wiary na całéj kuli ziemskiéj*, w Poznaniu u K. Reyznera. Zeszyt ten na pięknym papierze, drukiem wyraźnym, zawiera w sobie: Missyą w Su-Tchuen; List X. Bochet, Miss. ap. w Chinach, do X. Deboa; List X. Gregeois, Prok. francuzkiéj Missyi, do XX. Dyrektorów Seminaryum Missyj zagranicznych; List X. Pausot z Su-Tchuen z d. 22. Sierpnia 1832. do Przełożonych Seminaryów zagranicznych Missyj w Paryżu, List X. Perochean, B. maxulskiego, do X. Langlois; List X. Biskupa z Sinitis, Wikar. ap. w Su-Tchuen, do X. Langlois; List X. Maubant, ap. Missyonarza, do XX. Dyr. Seminaryum Missyj zagranicznych, z Makao z d. 12. Paźdz. 1832; List X. Rumeaux z Chin, do X. Torrette; List ostatniego do Prokuratora Missyj Łazarzystów w Chinach, z Makao d. 15. Września 1832; Missya w Korei; List X. Bruguiere, Wikar. ap., do Arcybiskupa w Manili, z Makao d. 25. Paźdz. 1832; List X. Bisk. z Kapsy, Wik. ap. w Korei, do Wydawcy Roczników, z Makao d. 14. Grud. t. r. — Uwagi nad stanem Chrześcian w Korei.

Ponieważ nie zbyt wielka liczba exemplarzy dzieła tego się wytłacza, wzywamy niniejszém wszystkich czcicieli religii, aby się z żądaniami swemi wcześnie zgłosić raczyli, chcąc bez przerwy następne poszyty odbierać. Wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne przyjmują przedpłatę; w Lesznie i Gnieźnie księgarnia Ernesta Günthera. Cena jednego zeszytu Złp. 2, czyli 10 sgr. O wyjściu drugiego zeszytu, będącego pod prassą, pisma publiczne doniosą.